

Paweł Wakuła

BJØRN

Oczy smoka



Paweł Wakuła
Bjørn
Oczy smoka

© by Paweł Wakuła
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Robert Konrad

Mapa:
Mikołaj Kamler

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-8208-022-3

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Prolog

I stało się tak, że Bjørn pożegłował na południe do Miklagrodu*, miasta, którego dachy pokrywa czyste złoto. Tam właśnie spotkał smoka.

Potwór całymi dniami wylegiwał się w jamie na wielkiej górze kosztowności, bo taka jest natura wszystkich olbrzymów, a do nich właśnie zaliczają się smoki. Gdy czuł, że jest głodny, wyłaził na brzeg morza, a przerażeni Grecy przyprowadzali mu młodego wołu, którego pożerał ze smakiem.

Kości tych, którzy chcieli pokonać bestię, bieleły na słońcu i nie było już śmiałka, który gotów był rzucić jej wyzwanie.

Gdy cesarz Miklagrodu dowiedział się, że do jego miasta przybył tak dzielny mąż, natychmiast zaprosił Bjørna i jego drużynę na ucztę, a gdy wypito niejeden kielich wina, opowiedział przybyłym o swoim zmartwieniu.

– Nie ma już dla mnie nadziei, bo smok zażądał mojej własnej siostry. Czy pozwolicie, aby i ją pożarł?

– Szlachetny panie, nie smuć się już, ta sprawa zostanie załatwiona – rzekł Bjørn.

Cesarz był rad, ale odparł:

– Tak właśnie myślałem, Bjørnie, bo twoja sława cię wyprzedza, ale musisz wiedzieć, że smok jest jadowity. Jedno jego ukąszenie zabija wołu!

– Czy wyglądam na wołu, panie? – spytał Bjørn.

* Miklagród – staronordyckie Miklagard (Wielkie Miasto), Konstantynopol.

Cesarz klasnął w dłonie i do stołu podeszła księżniczka piękna jak wiosenny kwiat, żeby nalać swoim wybawcom wina z dzbana.

Nie mówili więcej o tym, ucztowali i pili, a nazajutrz Bjørn udał się do smoczej jamy, lecz nie sam. Towarzyszyli mu Gunnald, Bygost, Aslak, Saari, Drożko, Sofi i trzech Ketilów. Wszyscy mieli na sobie bydlęce skóry, a na głowach hełmy z krowimi rogami.

Gdy smok ujrzał woły – tak mu się zdało – zaraz wylazł z jamy. Ale jedyne, co zyskał, to gromkie ciosy i krwawe rany.

Łatwo jest ubić jednego wołu, lecz nie dziesięć...

Arne Ingvarsson
Saga o Bjørnie Stenskalle

O żniwach na Świętej Wyspie, o wyprawie Włodzimierza na Kijów i o szalonym planie Bjørna

Lato na Lindisfarne było skwarne, a pogoda idealna do żniw. Mnisi od świtu do zmierzchu uwijali się na polu jęczmienia za klasztorem, aby zdążyć ze zbiorami przed nadejściem deszczów.

Opat i Anzelm schyleni wpół żęli zdźbła ostrymi sierpami, Remigiusz podążał ich śladem, wiązał pokos powróżkami i ustawiał snopki w mendle*. Nikt nie narzekał na żniwo. Czasem tylko ktoś przystawał i ocierał pot z czoła.

Nieopodal na wzgórzu widniał rząd jeszcze świeżych mogił i obruszonych przez zimowy wiatr brzoźowych krzyży. Wielebny Brendan z Corku co jakiś czas zerkał na nie i szeptał ciche słowa modlitwy.

Opat głęboko wierzył, że zły czas dla jego opactwa skończył się i na Lindisfarne nie dojdzie już do mordów. Na wszelki wypadek postanowił, że nie pozwoli, aby na wyspie pojawił się bodaj jeden nowy mieszkaniec... Przynajmniej dopóki znajduje się na niej Bjørn Stenskalle, który zdawał się przyciągać kłopoty.

Królewski więzień i pilnujący go strażnicy rozsiedli się na trawiastym zboczu nieopodal braciszków, raczyli się piwem i przyglądali pracującym z pobłażaniem.

- Jak cholerne mrówki, i to w taki upał... - mruknął z podziwem Bork Jorundsson. - Robota po prostu pali im się w rękach!

- I bardzo dobrze, bo dzięki temu będziemy mieli co jeść i pić w zimowe dni - odparł Czarny Glum.

* Mendel – 15 sztuk, czyli ¼ kopy.

- Właściwie to moglibyśmy im pomóc - bąknął niepewnie Mały Orm.

Uve Krzykacz tylko parsknął, ale Jorundsson uznał za stosowne skarcić najmłodszego członka drużyny:

- Eryk z Lade przysłał cię tu, abyś strzegł więźnia, a nie po to, żebyś garbił się na roli jak niewolnik. A skoro tak, to rób swoje i nie otwieraj gęby bez potrzeby.

Orm zerknął niepewnie na Bjørna Stenskalle. Minał już ponad rok, odkąd wysłano ich na wyspę z poleceniem pilnowania starego wikinga, ale wciąż zastanawiał się, czy potrafiliby go obezwładnić, gdyby ten nagle wpadł w szał berserka*. Prawdę mówiąc, wątpił w to.

Zresztą od jakiegoś czasu nie był też pewien, czy dobrze zrozumiał zadanie. Na początku myślał, że mają chronić mnichów przed więźniem, teraz pojął, że to właśnie Bjørn jest w niebezpieczeństwie. Zdaje się, że wiedział za dużo. Jedni zamierzali wyrzucić mu tajemnicę, inni pragnęli, żeby zabrał ją ze sobą do grobu.

Orm nie chciał, aby towarzysze pomyśleli, że pozwolił sobie łatwo zamknąć usta, więc burknął gniewnie:

- Zrobię, jak zechcę... A na razie jedyne, na co mam ochotę, to leżeć tu i patrzeć, jak mnisi pracują.

Kilkadziesiąt kroków dalej brat Remigiusz wyprostował się, aż coś trzasnęło mu w pacierzu**. Spojrzał z wyrzutem na opata i mruknął:

- Czy oni mogliby nam pomóc? Gdy przyjdzie na to czas, będą pierwsi do miski z kaszą i uwarzonego przez nas piwa!

* Berserk – nieczuły na ból i obdarzony nadludzką siłą wojownik, którego podczas walki ogarniał bitewny szał. Według niektórych podań wikingowie przemieniali się w berserków po zażyciu halucynogennych grzybów. Nazwa pochodzi od staronordyckiego słowa *berserk*, oznaczającego niedźwiedźnią skórę.

** Pacierz – tu: kręgosłup.

- To oczywiste - odparł Brendan. - Apetyt im dopisuje, a gdyby zabrakło napitku, to chyba rzuciliby się w pław do brzegu.

- Więc dlaczego pozwalasz, żeby się lenili?

Brendan otarł pot z czoła.

- Nie mam nad nimi władzy i nie chcę mieć. Każda rozmowa utwierdza mnie w przekonaniu, że niewiele mamy ze sobą wspólnego. Nawet ci z nich, którzy zostali ochrzczeni, w głębi serca pozostali poganami.

- Dlatego wolno im się objąć?

- Właśnie tak. Jedzenia i piwa nam nie brakuje, a co do pracy, to ona także jest naszą modlitwą. Nie chcesz chyba, żeby jakiś dzikus zabierał ci możliwość rozmowy z Bogiem?

Klasztorny kucharz otworzył szeroko usta, ale ostatnie słowa opata sprawiły, że nic nie odpowiedział. Schylił się z westchnieniem i zaczął wiązać ścięte przez Anzelma źdźbła.

Tego dnia Brendan nie pozwolił braciom zejść z pola, nim nie zżęto i nie ustawiono ostatniego snopka. Za to po *prandium** głośno pochwalił ich trud.

- Cieszymy się, bo jest z czego - rzekł. - Pan pobłogosławił nam i pozwolił zebrać plon. Możecie teraz udać się do swoich cel i odpocząć przed kompleta**, chyba że chcecie posłuchać historii Bjørna.

Nikt nie wstał od stołu, wszyscy patrzyli wyczekująco na starego wikinga.

Stenskalle odsunął miskę i zaczął snuć opowieść:

* *Prandium* – obiad, główny posiłek. W porze letniej zazwyczaj odbywał się około południa, po sekście (modlitwa).

** Kompleta (łac. *completorium*) – ostatnia msza liturgii godzin odmawiana przez mnichów przed udaniem się na spoczynek, zazwyczaj około godziny osiemnastej, po ostatnim posiłku.

Wspominałem o tym, jak za moją sprawą Włodzimierz zdobył Połock, a następnie hojnie obdarował wszystkich, którzy mu w tym pomogli. Także i mnie spotkała z jego strony łaska, otrzymałem pełen udział hovdinga* wynoszący pięćdziesiąt marek** srebra, a także w dowód szczególnej wdzięczności księcia – miecz, który Mieszko wysłał na znak przyjaźni Palnatokiemu. Przedmiot zazdrości wielu przednich mężów.

Byłem teraz człowiekiem zamożnym, a poważanie, jakim cieszyłem się wśród Waregów, bardzo wzrosło. Jednak w sercu czułem gorycz.

Wyruszyłem w długą podróż nie z własnej woli, lecz z powodu zawiści przyrodniego brata i intryg jego macochy Ody. Nie byłem z tego powodu szczęśliwy, ale w głębi serca miałem nadzieję, że ułożę sobie życie w dalekim kraju Swijów.

Zamiast tego zostałem porwany przez Jomswikingów i zawleczony do Gardariki. Mieszko, Bolko i Świętosława mieli mnie za zdrajcę, a droga powrotna do rodzinnego domu została zamknięta na zawsze.

Gdy pierwszy raz ujrzałem Włodzimierza, poczułem, że jest dla mnie nadzieja. Książę wydawał mi się człowiekiem szlachetnym, a jego sprawa godną poparcia. Bez wahania przyłączyłem się do wyprawy na Jaropelka... Choć prawdą jest i to, że nie miałem wielkiego wyboru.

Gdy ujrzałem, jak Włodzimierz zamienia Wsiewołoda w psa, jak gwałci Rognedę na oczach jej ojca i braci, a potem morduje jej bliskich z zimną krwią... zrozumiałem, jak bardzo się myliłem. Królestwo Niemiec, kraj Polan czy Gardariki – wszędzie było tyle samo zła i niegodziwości – bo w każdym z tych miejsc żyli ludzie.

Żałowałem, że nie wsiadłem do łodzi z kupcem Ibrahimem, gdy był na to czas, i nie odpłynąłem jak najdalej od księcia Rusów.

* Hovding – wódz.

** Marka – jednostka wagi zazwyczaj stanowiąca połowę funta, około 180–280 gramów. Odpowiednikiem marki w krajach słowiańskich była grzywna.

Olaf Tryggvason miał rację, gdy mówił, że Włodzimierz złowił mnie jak pająk głupią brzęczącą muchę. Teraz byłem jego własnością.

Czy myślałem o ucieczce? A jakże, ale wtedy dotarło do mnie, że w Gardariki mam kilku serdecznych przyjaciół, jedynych, jacy mi pozostali. Olaf, Arne, Aslak, Bygost, Drożko, Saari... – na nich wciąż mogłem liczyć. No i była jeszcze Bogna.

Polańska dziewczyna wyzwolona z rąk Połocczan postanowiła związać ze mną swój los. Nie pytała mnie o zdanie, po prostu wprowadziła się do obozowiska Jomswikingów, zaczęła prać mój przyodziewek, gotować strawę i narzekać, że w chłodne dni chodzę bez nakrycia głowy. Było mi z nią dobrze... zwłaszcza w nocy. Stało się dokładnie tak, jak przewidziała Ardete: Bogna wzięła mnie na własność.

Za dnia moja kobieta gadała bez przerwy, a choć z początku było to uciążliwe, to z czasem jej paplanina zaczęła mi przynosić nieoczekiwaną ulgę. Przestałem uważać się nad sobą i zacząłem myśleć o przyszłości.

Był na to najwyższy czas. Lato miało się ku końcowi, a Włodzimierz musiał obalić swego przyrodniego brata, zanim sroga zima uniemożliwi dalsze działania wojenne.

Wielka flota ruszyła w górę Dźwiny, do Witebska, nieopodal którego znajdowała się dogodna przewłoka* na Dniepr. Prastara puszcza od świtu do zmierzchu rozbrzmiewała odgłosem siekier i hukiem padających drzew, a woje na wiele dni zamienili się w rabów**, na przemian podkładających okrągłaki pod łodzie i ciągnących liny. Meszki cięły bez litości i utoczyły z ludzi Włodzimierza więcej krwi niż miecze Połocczan i Dregowiczów. Pot łał się strumieniami.

* Przewłoka – miejsce położone między dwoma basenami wodnymi (rzeką, jeziorem), w którym przewlekano łodzie po lądzie. System przewłok był szeroko stosowany na Rusi (Gardariki).

** Rab – niewolnik.

Ci, którzy aż dotąd nie zaznali podobnej „przyjemności”, przeklinali księcia i zarzekali się, że gdyby wiedzieli, co ich czeka, to nie wyruszyliby na tę wyprawę nawet za worek srebra.

Olaf zbyt dobrze pamiętał mordęgę, jaką przeszliśmy poprzednim razem, żeby nie wymyślić sposobu jej uniknięcia. Zaraz po bitwie, gdy wszyscy jeszcze świętowali zwycięstwo, wsadził swoją drużynę na konie i ruszył na objazd okolicznych wsi. Zabierał chłopom wszystkie woły, jakie udało mu się znaleźć w promieniu wielu mil od Połocka i Witebska.

Z początku tylko się z niego śmiano, a Hogni Styrsson pytał złośliwie, czy wciąż wybiera się na wojnę, czy też postanowił zająć się handlem bydłem. Po pierwszym dniu harówki przy przetaczaniu łodzi szydercy przestali się śmiać i błagali Tryggvasona, aby odstąpił im bodaj parę pociągowych zwierząt.

Olaf chętnie dzielił się swoimi bydłatkami, ale za młodego silnego wołu brał pięć srebrnych monet! Waregowie klęli i wymyślali mu od dziedziców, a niektórzy ponieważ sami wyruszyli szukać zwierząt, ale w najbliższej okolicy żadnych już nie było, bo gospodarze pochowali stada w lasach. W tej sytuacji znaleźli się tacy, którzy próbowali ukraść nasze woły, ale po tym, jak kilku złodziei dostało po głowie toporem od Aslaka Wieprza, takie próby ustały.

W końcu wszyscy ustawili się jeden za drugim i z kwaśnymi minami rozsypywali swoje sakiewki. Przykuśtykał także Hogni, któremu wciąż dokuczala noga zraniona przez Olafa oszczepem.

– Chciałbym kupić od ciebie sześć wołów... – zaburczał.
– To się dobrze składa, bo mam kilka na zbyciu – odparł Olaf.
– Jak dla ciebie, kosztują siedem sztuk srebra.

– Za parę?
– Za sztukę.

Styrsson aż poczerwieniał z gniewu.

– Wszystkim sprzedajesz po pięć! – ryknął oburzony.

– O, tak – przyznał Olaf. – Ale to jest cena dla moich przyjaciół, których, jak widzisz, nie brak. Dla ludzi, którzy odgrają się,

że nie spoczną, póki nie zobaczą mojego trupa z mieczem wbitym w gardło, cena za jedno zwierzę wynosi siedem sztuk srebra... Albo nie, raczej osiem. Rozumiesz, muszę się szanować.

Hogni długo milczał, przeżuając myśli. Wreszcie oświadczył:

– Nie jestem twoim wrogiem i doprawdy nie wiem, co nas poróżniło. Rzeczywiście skradłeś okręt mojego krewniaka Skoglara Toste, ale to przecież jego kłopot, a nie mój. Wziąwszy wszystko pod uwagę, sądzę, że możemy zostać dobrymi przyjaciółmi!

– Bardzo mnie to cieszy – odparł z uśmiechem Olaf.

Obaj splunęli w dłonie i przypieczętowali handel mocnym uściskiem.

Hogni dostał swoje woły po pięć srebrnych monet za sztukę, a sam podarował Olafowi topór o dwóch ostrzach, który zdobył w Połocku. Z kolei Tryggvason dał mu kilka łokci jedwabiu, także zdobycznego. Odtąd byli dobrymi przyjaciółmi.

– Nigdy dość srebra, zwłaszcza gdy tak łatwo przychodzi – orzekł Olaf, wrzucając pękaty woreczek do skrzyni zrabowanej Skoglarowi Toste. – Będę go dużo potrzebował, gdy zdecyduję się popłynąć do Lade Gård rozmówić się z jarlem Haakonem.

Miał na myśli swoje marzenie o zdobyciu tronu Norwegii, a ja pomyślałem wówczas, że będąc tak zapobiegliwym i cierpliwym, być może naprawdę w przyszłości dokona tej sztuki.

Wreszcie cała flota znalazła się na Dnieprze, a nasza załoga pokonała przewłokę bez większego wysiłku, choć pod sam koniec Olaf zaczął wyprzedawać także woły ciągnące Svarthästa*. Musiał w tym celu obniżyć cenę i ostatniej pary pozbył się za cztery srebrne monety, a przy tym naraził się na szyderstwa własnej załogi, które jednak spływały po nim jak woda po gęsi.

Taki właśnie był mój przyjaciel: śmiały, sprytny, bezczelny, wspaniałomyślny... i skąpy.

Dniepr to potężna rzeka i niewiele jest jej podobnych. Dobrze pamiętałem, jak opowiadał mi o niej kupiec Ibrahim, gdy byłem

* Svarthäst – Czarny Koń.

jeszcze otrokiem*, a teraz oglądając ją na własne oczy, uznałem, że mówił szczerą prawdę.

Było na co popatrzeć! Zresztą nie tylko ja, ale także Arne i Bygost musieli przyznać, że nie widzieli dotąd czegoś podobnego, natomiast mały Drożko po prostu oniemiał z wrażenia. Każdego dnia bezmiar wód jakby ogromniał, a oba brzegi rzeki oddalały się od siebie niczym krańce jeziora. Dziesięć łodzi mogło płynąć obok siebie, a jeśli na ich szlaku pojawiała się wyspa, omijały ją z dwóch stron, zupełnie jak kolumna mrówek, gdy napotka na swej drodze przeszkodę.

Po kolejnym dniu żeglugi ujrzelśmy przed sobą warowny gród wzniesiony na wzgórzach na prawym brzegu rzeki i od razu zrozumieliśmy, że tym razem nie pójdzie nam tak łatwo jak w Połocku.

Dostępu do Kijowa bronił solidny wał z ziemi i kamieni, na którym wznosił się potrójny częstokół**. Za palisadą stali woje Jaropełka i spoglądali w milczeniu, jak z naszych łodzi wysypuje się mrowie zbrojnych. Brat Włodzimierza wiedział już, jaki los spotkał Rogwołoda, i nie kwapił się stawić nam czoła w otwartym polu.

Czy widzieliście kiedyś, braciszku, jak wygląda oblężenie warownego miasta? Trudno o bardziej krwawy i bezsensowny wysiłek. Od samego świtu tłum straceńców pnie się po drabinach na mury, a obrońcy grodu wylewają im na głowy gorącą smołę, ciskają głazy, pochodnie i nabijane gwoździami belki. Ludzie odrąbują sobie nawzajem ręce i przeszywają się na wylot oszczepami. Śmierć zbiera krwawe żniwo aż do zmroku. Wówczas jedni i drudzy udają się na spoczynek, a nim nadejdzie sen, modlą się, żeby słońce nigdy nie wzeszło.

Tak było i tym razem.

* Otroki – chłopiec, niedorostek.

** Częstokół (palisada) – drewniane ogrodzenie składające się z zastrzonych pali.

Szturmowaliśmy gród dzień za dniem, ale jedyne, co zyskaliśmy, to rany i sińce, nie mówiąc o tych z nas, których ciała wypełniły fosę i głęboki jar chroniące dostępu do wałów.

Armia Włodzimierza rozłożyła obóz w pewnej odległości od Kijowa, w miejscu zwanym Dorogożycze, a wojewoda Dobrynia kazał nam wykopać na przedpolu głęboki rów na wypadek, gdyby obrońcy chcieli urządzić wycieczkę*.

Tak naprawdę było to zbędne, bo po całym dniu walki wszyscy pragnęli jedynie wypoczynku. Noc rozbrzmiewała przekleństwami i jękami rannych, choć czasem trudno było orzec, czy docho- dzą one z naszego obozu, czy z kijowskiego grodu. Wszystko zapo- wiadało długie i krwawe oblężenie.

Pamiętam naradę wojenną, na której zebrali się co znaczniejsi hovingowie. Nawet najdzielniejsi z nich mieli strapione miny. Ten i ów zapewne zastanawiał się, czy nie zwołać swoich ludzi i nie odpłynąć na północ. Wielu miało do tego prawo, bo zgodzili się na udział w wyprawie w zamian za obiecane łupy i srebro ze skrzyń Jaropełka, a te powoli stawały się majakiem.

– Szkoda, że nie ma z nami kupca Ibrahima – westchnął Włodzimierz. – On na pewno znalazłby jakąś radę... Ale są tu inni dzielni mężowie i może oni coś wymyślą. Olafie, gdy Rudy Otto stanął pod wałami Danevirke, ty wpadłeś na pomysł, żeby je podpalić...

– Ale tam od dawna nie padał deszcz – odparł niechętnie Tryggvason. – Kijowski częstokół spijał wilgoć przez wiele dni i niestraszny mu ogień. Przy tym wzniesiono go na pagórkach. Kto będzie nosił wiązki chrustu i toczył beczki ze smołą pod górę?

– Na pewno nie moi ludzie... – mruknął zgryźliwie Hogni Styrsson.

Włodzimierz zmrużył oczy i spojrzał na niego tak lodowatym wzrokiem, że krępy Smalandczyk aż się skulił.

* Wycieczka – zbrojny wypad przeprowadzony przez obrońców oblężonej twierdzy.

– Czyżby się bali? – wycedził książę. – Zamierzają zdychać w łózkach jak stare baby? Nie chcą po śmierci trafić do Walhalli*, jak przystało na dzielnych mężów?

Z każdym słowem Hogni kulił się coraz bardziej. Wszyscy milczeli jak zakłęci, czekając na wybuch gniewu Włodzimierza.

Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Może mieszkańcy Kijowa będą rozsądniejsi... – mruknąłem sam do siebie.

– Co? – Włodzimierz patrzył teraz na mnie.

– I ja byłem pod Danevirke – odchrząknąłem. – Pamiętam, że ludzie z Hedeby byli o krok od tego, żeby poddać swoje miasto Ottonowi. Kijów to kupiecki gród, prawda? A kupcy bardzo nie lubią, gdy wojna przeszkadza im w interesach...

Kątem oka widziałem, jak Olaf wstrzymuje oddech, ale ku jego zdziwieniu, Włodzimierz uśmiechnął się łaskawie.

– No proszę, jest i rada. I to wygłoszona przez najmłodszego z was, w dodatku tego, który jako pierwszy wdarł się do Połocka. Nie wstyd wam?

Hovdingowie spoglądali na mnie spode łba, a ja pomyślałem, że tego dnia raczej nie przybyło mi przyjaciół.

Książę zwrócił się do Dobryni.

– Kto dowodzi obroną? Bo przecież nie mój brat, on zawsze się kimś wyręcza.

– Wojewodą Jaropełka jest niejaki Błud... – odparł z namysłem książęcy wuj. – Naprawdę zwie się Budy. To jeden z naszych, Swij z Roslagen.

– Czy to człowiek chciwy?

Dobrynia zadumał się.

* Walhalla – pałac Odyna, w którym dzielni, polegli w boju wojownicy oczekują na Ragnarök (koniec świata), uczując i ćwicząc się w boju. Podczas uczy wojom usługują Walkirie, córki Odyna, których zadaniem jest także sprowadzanie do Walhalli poległych wojowników z pól bitewnych.

– Nie znam go dobrze, całkiem niedawno zastąpił starego Sveinalda. Ludzie mówią, że jest śmiały i ambitny. Szczęście mu sprzyja.

Książę skrzywił się.

– Ambitny, czyli chciwy. To z nim musimy się porozumieć. Pozostaje pytanie, kto przedostanie się do grodu. – Przyglądał się zebrany z uwagą, a pod jego spojrzeniem wszyscy spuszczały głowy. Wreszcie jego wzrok zatrzymał się na mnie. – Raz już zdobyłeś dla mnie warownię, Bjørnie. Szkoda, że nie ma tu mojej matki, bo ona na pewno zobaczyłaby, jaki czeka cię los. Ja jednak wierzę, że otworzysz mi bramy Kijowa... Uczynisz to?

Milczałem. W głębi ducha przeklinałem chwilę, gdy otworzyłem usta. Włodzimierz patrzył na mnie w napięciu swoimi zimnymi niebieskimi ślepiami i sam nie wiem dlaczego, powiedziałem:

– Tak. Zrobię to.

– A więc przekonałeś się do księcia - orzekł Brendan. - Być może spostrzegłeś dobro kryjące się na dnie jego duszy. Przymioty, dzięki którym w późniejszym czasie przejrzał na oczy i przyjął światło Chrystusa.

– O nie! - Bjørn pokręcił głową. - Nie żywiłem co do niego złudzeń. Dobra w nim było tyle, co w jadowitym wężu. Po prostu miałem dosyć uzalania się nad samym sobą, chciałem znowu walczyć i dokonać czegoś wielkiego. Byłem jak pijak tęskniący za kubkiem chłodnego piwa... Spodobało mi się to, co czułem podczas zdobywania połockiej bramy, i chciałem to powtórzyć...

– O czym mówisz? - zmarszczył brwi opat.

Stenskalle wzruszył ramionami.

– Trudno to wytłumaczyć, ojczulku, zwłaszcza komuś, kto całe życie spędził w klasztornych murach. Chodzi mi o to, że idziemy przez życie przekonani, że prowadzą nas Dola i Norny... Och, nie krzyw się, wiesz, o co mi chodzi. Wy, chrześcijanie, możecie nazywać to inaczej, ale wierzycie przecież, że jest jakaś siła,

która wytycza wam drogi, opiekuje się wami, a kiedy indziej boleśnie doświadcza...

- Wiele zamierzeń jest w sercu człowieka, lecz wola Pana się ziści* - powiedział z powagą Brendan.

- No więc wtedy pod bramą Połocka, gdy w każdej chwili mogłem zginać, zrozumiałem, że wszystko zależy tylko ode mnie. Bogowie mogli mnie cmoknąć w dupę! Rozumiesz? To było bardzo przyjemne uczucie!

Opat spojrzał bezradnie na Remigiusza, jakby chciał powiedzieć: "Widzisz, to właśnie miałem na myśli, gdy mówiłem, że my i oni niewiele mamy ze sobą wspólnego".

Björn roześmiał się, jakby czytał w jego myślach.

- Olaf także stwierdził, że jestem niespełna rozumu, i nie omieszkał mi tego powiedzieć...

- Oszalałeś! - grzmiał, gdy wreszcie znaleźliśmy się w naszym obozowisku. - Chcesz wdrzeć się do Kijowa?! Jak zamierzasz tego dokonać? Podejdiesz do wału i poprosisz, żeby ludzie Jaropelka zaprosili cię do środka? A może myślisz, że w każdym grodzie jest jakaś Bogna, cycata polańska dziewczka, która czeka, żeby cię wpuścić boczną furtą?!

- Sposób się znajdzie - odparłem spokojnie. - Po to się właśnie zebraliśmy.

Siedzieliśmy przy ogniu w gronie przyjaciół i od godziny rozmawialiśmy o zadaniu, jakie zlecił mi Włodzimierz.

- A jak już tam wleziesz, to co zrobisz? - spytał ciekawie Arne.

- Pójdiesz do tego Błuda i spytasz go, czy zechce łaskawie zdradzić swojego księcia?

- Dam mu to - odparłem i cisnąłem mu na kolana sakiewkę, którą otrzymałem od Włodzimierza.

- Ciężka...

- Zobacz, co jest w środku - mruknąłem.

* Prz 19:21.

Arne rozsuptał sakiewkę i wysypał na dłoń dziesięć błyszczących krążków.

- Złoto... - szepnął nabożnie. - Prawdziwe... Wiesz, ile to warte?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam pojęcia. Księżę kazał powiedzieć Błudowi, że to zadatek.

- Na twoim miejscu ukradłbym je i zwiął na kraj świata. Mógłbyś za to kupić dwór i ziemię po horyzont, a do tego sto krów i drugie tyle świń. Jak chcesz, zrobimy to razem. Znam takie miejsce w lasach Goingii...

- Przedostanę się do Kijowa i dam to Błudowi - powiedziałem, zbierając złote monety. - Lepiej radźcie, jak mam to zrobić. Musicie coś wymyślić. Przecież jesteście Jomswikingami!

Jednak sposobu, w jaki dostałem się do miasta, nie wymyślił żaden z dzielnych wojów, mimo że Aslak drapał się po łysej głowie, Olaf gryzł paznokcie, a skald* gapił się na mnie jak sroka w gnat. Zrobił to Saari.

- Niech nam sami otworzą! - zachichotał mały Finn.

Dwa dni później miał miejsce niezwykle incydent. Grupa jeźdźców postanowiła zaskoczyć oblegających i przedrzeć się do Kijowa. Wpadli jak huragan na drogę prowadzącą do miasta, obalali końmi usiłujących powstrzymać ich wojów i siekli ich mieczami. Trup ścielił się gęsto.

Kilku napastników ściągnięto z koni i zabito, ale pięć udało się dotrzeć w pobliże fosy okalającej wał. Ich wierzchowce tańczyły niecierpliwie na zadnich nogach, a oni oglądali się przez ramię na swoich prześladowców. Ludzie Włodzimierza ochłonęli z pierwszego zaskoczenia i teraz zbierali się w kupę, żeby dopaść zuchwałców. Kilka oszczepów już poleciało w ich stronę.

* Skald - staroskandynawski poeta i wojownik.

– Wpuściecie nas, psie syny, czy będziecie patrzeć, jak nas tu wyrzynają?! – ryknął gniewnie jeden z jeźdźców.

Na wale zabrzmiała komenda i niewielki zwodzony most, skrzypiąc, opadł na fosę. Kopyta zadudniły po belkach.

W taki właśnie sposób dostaliśmy się do Kijowa: ja, Arne, Bygost, Gunnald i Ketil Mysz. Pomyśl, żeby wjechać do miasta na koniach, był równie szalony jak Saari, ale skoro w swoim czasie wielkiemu Hasteinowi udało się dostać do Rzymu we własnej trumnie*, to dlaczego nam nie miało się powieść?

Po drodze, w walce, jaką stoczyliśmy na niby z ludźmi Włodzimierza, stratowałem jakiegoś nieszczęśnika, a innemu nabiłem guza płazem miecza, lecz nikomu nie stała się poważna krzywda. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Olaf chciał koniecznie iść z nami, ale Aslak stanowczo mu to odradził.

– Ktoś może cię pamiętać z dawnych czasów, gdy przebywałeś na dworze księcia. Lepiej nie ryzykować.

Tryggvason nie nalegał. Mój przyjaciel bywał zadziwiająco rozsądny.

Tak więc wjechaliśmy do grodu, a brama zamknęła się za nami z nieprzyjemnym łoskotem. Otaczał nas tuzin ludzi z napiętymi łukami, a przynajmniej drugie tyle obserwowało nas z drewnianej galerii otaczającej dziedziniec, ważąc w rękach oszczepy. Znaleźliśmy się w macezniku rannego, ale przez to jeszcze bardziej groźnego wilka.

Na nasze spotkanie wyszedł młodzieniec z surowym wyrazem twarzy.

– Coście za jedni? – warknął.

* W rzeczywistości słynni wikingowie Hastein i Björn Żelaznoki zdobyli małe miasteczko Luna, które w swej naiwności wzięli za Rzym. Hastein dostał się do miasta w trumnie, a towarzyszący mu „orszak żalobny” otworzył bramę najeźdźcom.

– Jestem Björn Ulfsson, przybywam z pismem od jarla* Kjartana do księcia Jaropelka! – odparłem śmiało, choć łydki mi drżały.

– Przyjechaliście z Gniezdowa? – młodzieniec zmarszczył brwi. – To znaczy, że należysz do zaufanych ludzi Kjartana. Dziwne, że cię tam nie widziałem. A może wcale nie jesteś tym, za kogo się podajesz?

Łydki natychmiast przestały mi drżeć. To była właśnie ta chwila, którą przeżyłem pod bramą Połocka. Pewność, że wszystko zależy ode mnie, i zgoda na to, co się wydarzy.

Nachyliłem się nad końską szyją i wycodziłem:

– Jestem tym, kim jestem, świński ryju... Ty nie przedstawiłeś się wcale, a przecież maciora jakoś cię nazwała!

Młodzieniec wytrzymał moje spojrzenie. Przez chwilę byłem pewien, że plan Saariego nie powiódł się i zaraz będziemy musieli walczyć na śmierć i życie. Albo raczej na śmierć, bo o ucieczce nie było już mowy.

Nagle ktoś odezwał się z boku.

– Ja poznaję tego człowieka, Wareżko. Książę jest zajęty, ale chętnie go zastąpię.

Na ganku najbliższego budynku stał szczupły mąż. Nie musiałem pytać kto to. Wojewoda Błud odstąpił na bok i gestem zaprosił nas do środka.

* Skandynawskie *jarl* lub angielskie *earl* – tytuł przysługujący królewskiemu namiestnikowi lub zarządcy prowincji, z czasem przekształcił się w tytuł arystokratyczny odpowiadający randze hrabiego.